

W związku z 60 rocznicą pierwszej wywózki osadników i ich rodzin poniżej prezentujemy dwa artykuły wspomnieniowe.

*Bronisława Sztadhauz-Kozioł
zamieszkała w Kanadzie*

WYWIEŻLI NAS DO KOTŁASU (fragment pamiętnika)



Janek



Bronia



Hela

Zdjęcia z 1936 roku

Do 10 lutego 1940 r. mieszkałam wraz z mężem Janem Kozłem i córką Heleną w osadzie Armatniów, gm. Poddębce, pow. Łuck. Armatniów leżał między Ołyką a Kiwercami. W pobliżu były wioski: Palcze, Zwierów, Kopcze, Kotów. W osadzie żyło 10 rodzin osadników wojskowych. Otrzymali oni działki rolne w nagrodę za walkę w obronie wolności ojczyzny w 1920 r. Służyli w artylerii, stąd nazwa osady - Armatniów. Działki były różnej wielkości, w zależności od położenia i kategorii gleby. Zaniedbana ziemia wymagała ciężkiej pracy fizycznej. Nie

mieliśmy narzędzi ani pieniędzy na ich zakup, ale była młodość, energia i nadzieja na lepsze jutro. Początkowo, do czasu wybudowania domów, wszyscy osadnicy mieszkali razem w dużym czworaku. Jednak z każdym rokiem było lepiej, wzrastały plony zbóż, warzywa i owoce z własnych ogródków i sadów były coraz dorodniejsze, a ilość i jakość żywego inwentarza cieszyła oczy osadników. Każdego roku organizowane były w Łucku zjazdy rodzin osadniczych, na których omawiano własne doświadczenia oraz uczono wprowadzania nowatorskich metod

upraw i hodowli. Nie żyliśmy tylko samą pracą na roli. Organizowane były wycieczki po Polsce np. do Gdyni, Jastarni, Krakowa, na targi do Poznania itp. Najmłodsze dzieci chodziły do czteroklasowej szkoły powszechnej w Armatniowie, gdzie nauczycielką była Helena Targowska, starsze uczyły się w Palczu, a najstarsze dojeżdżały do gimnazjum w Równem. Niestety długo to nie trwało.

1 września 1939 roku wybuchła wojna z Niemcami, a 17 września do Polski wkroczyli sowieci. Zaczęła się nasza gehenna. 10 lutego 1940 roku wszystkich osadników wraz z rodzinami wywieziono w głąb Syberii, na głód i poniewierkę - na stracenie i zagładę.

Kiedy przyszedli po nas była godzina czwarta rano. Obudzili mnie i męża głośnym stukaniem do drzwi.

- Kto tam? - zapytałam.

- Otwieraj! Władza sowiecka przeprowadza rewizję! - padła odpowiedź w języku rosyjskim.

Taki był system działania sowieców polegający na wdzieraniu się do mieszkań, najczęściej nad ranem, gdy ich ofiary jeszcze spały.

Zapaliłam lampę i otworzyłam drzwi. Do mieszkania wtargnęło dwóch wojskowych z bronią.

- Broń macie? Gdzie jest broń? - pytali.

Wiedziałam, że nie mamy żadnej broni, więc nie bałam się zbyt. Tylko przyszło mi na myśl, że mogą aresztować męża jako osadnika wojskowego. Zamykając drzwi zobaczyłam jeszcze kilku mężczyzn na podwórku. Gdy powróciłam do sypialni mąż stał w piżamie z rękami podniesionymi do góry. Zrewidowali go a następnie kazali

ubrać się w przejrzone wcześniej ubranie. Ustawili męża w kącie sypialni, a następnie zajęli się mną i córką. Ubiebrałyśmy się na ich oczach. Następnie zaczęło się przeszukiwanie mieszkania. Dziwna to była rewizja i odbywała się tylko w sypialni. Wyciągali szuflady z komody i po jednej sztuce bielizny rzucaли na podłogę. Największe zainteresowanie wzbudził album ze zdjęciami rodzinnymi, a szczególnie zdjęcia męża w wojskowym mundurze.

- To ty biłeś nas w 1918 roku - stwierdził jeden z sowieców.

- Była wojna, wy biliście nas, a my was - odpowiedział mąż. Nie zadawali więcej pytań.

Ja powiedziałam, że chcę wyjść do ustępu. Pozwolili mi. Przed domem stała grupka miejscowych Ukraińców. Słyszałam, że jeden z nich idzie za mną. Poznałam go, był to syn znajomego Ukraińca.

- Tobie Pietia nie wstyd iść za mną do ubikacji? - zapytałam.

Chłopak zatrzymał się i po chwili wahania dołączył do swoich. Było ich siedmiu. To mnie bardzo zaniepokoiło, bowiem już wtedy rozchodziły się słuchy o napadach i mordowaniu polskich rodzin.

Gdy zaczęło świtać kazano nam szykować się do podróży, ponieważ będziemy przesiedleni w inną obłaść, bo tu będzie niebezpiecznie.

- Zabierajcie żywność na dwa tygodnie, piły, siekiery i to szybko, bo na podwórzu czeka na was podwoda!

Nie mogłam ruszyć się z miejsca, musiałam bardzo zmienić się na twarzy, bo córka objęła mnie i cicho powiedziała abym nie pokazywała wrogom takiej rozpaczki. Córka miała 14

lat i odbierała te wydarzenia inaczej. Mąż też czuł się ode mnie lepiej, wziął piłę i siekiere. Ja nie mogłam skupić myśli na tym co mam brać, nie wiedziałam gdzie co leży. Oni pokrzykiwali - skorej, skorej! Odłożyłam pościel, obie poduszki i dwie pierzyny, ale jeden z tych łotrów wyrwał mi z rąk jedną pierzynę i odrzucił ją na bok. Powiedział, że wystarczy nam jedna. Podniosłam z podłogi wyrzuconą z szuflad bieliznę. Mąż związał wszystko w jedno prześcieradło, a do drugiego wrzucił ubrania. Miałam całą balię upranej bielizny, którą rano należało rozwiesić na strychu. Z tego wszystkiego wyciągnęłam ciepłą bieliznę męża i włożyłam do worka. Chleba mieliśmy tylko pół bochenka. Następnego dnia miał być pieczony z przygotowanego w dzieży zaczynu. Wstawiłam do kosza kamienny garnek z miodem i obłożyłam go workiem z grochem. Następnie wzięłam tłuszcz i worek suszonych owoców, cukier, kawę i herbatę. Dużych zapasów w domu nie było. Mąż wyniósł na sanie worek mąki, a jeden enkawudzista powiedział, że tego do wagonu nie wezmą, ale mąż położył worek na saniach. Córka włożyła do wiadra 3 talerze, 3 kubki, 3 łyżki, czajnik, garnek i blaszany kubek, który w podróży był bardzo przydatny. Nie pamiętam która z nas wzięła igły i nici. Ciągłe nas popędzali – wołając skorej! To co tu wymieniałam to był nasz cały majątek z takiego dużego gospodarstwa. Strach mnie ogarnął, nie wiedziałam dokąd nas zabierają, chyba na zagładę, ale za co? O godzinie 8 rano opuściliśmy, ze łzami w oczach i bólem w sercu, nasz dom i cały dorobek naszego życia. Z tobołkami wsiedliśmy

na sanie, które na nas czekały. Kiedy wyjechaliśmy na szosę zobaczyliśmy, że z całej osady wyjeżdżają inne sanie i ustawiają się jedne za drugimi. Mój brat Janek pracował na poczcie Armatniów - wiedząc, że nie mamy ani jednej kopiejki radzieckich pieniędzy (w obiegu były jeszcze polskie złotówki) przecisnął się do naszych sań i dał nam 30 rubli.

Wszystkie sanie ruszyły na stację do Ołyki, gdzie przygotowane były wagony towarowe. Spotkaliśmy tam ludzi z innych osad i miast, a wśród nich znajomych leśniczych i gajowych. Teraz zajęli się nami inni enkawudziści. Załadowano nas z podręcznym bagażem do wagonów. Większe tobołki zapakowano do osobnego wagonu. Mówiono, że na końcowej stacji odbierzemy je. Tą końcową stacją był Kotłas, obłasti Archangielskiej. Wagon z bagażem nie dotarł do celu, nie wiadomo co się z nim stało. W towarowych wagonach po obu stronach były prycze, półki, na które się można było wsunąć i spać. Najniższa półka była szersza i można było na niej usiąść. Na pryczach ułożyły się całe rodziny. Pod tą najniższą, na podłodze poukładano tobołki z ubraniami i żywnością jaką kto miał. Pierzyny i koce porozkładano na gołe deski prycz, każdy spał w ubraniu. Na środku wagonu stał żelazny piecyk, a obok leżało drewno do palenia. Dwa kroki dalej była wycięta w podłodze dziura do załatwiania potrzeb. W Olyce staliśmy cały tydzień, co jakiś czas doczepiali wagony z następnymi ofiarami stalinowskiego reżimu, z Łucka, Kiwerc itp. Około godziny 17 otworzono drzwi naszego wagonu i kazano kobietom iść po wodę. Wyszło nas cztery,

lecz tylko ja jedna miałam wiadro. Spojrzałam na nasz transport, był bardzo długi, straż ustawicznie chodziła przy pociągu. Jeden z wartowników prowadził nas po wodę. Gdy wróciliśmy do wagonu rozpoczęło się parzenie kawy i herbaty. To było nasze śniadanie, obiad i kolacja. Z Ołyki wyruszyliśmy w nocy. Na drugi dzień po południu dotarliśmy do granicy polsko-sowieckiej, była to stacja Szepetówka. Przywarliśmy do szpar w ścianach aby zobaczyć nasze biało-czerwone słupy graniczne. Wszyscy ze łzami w oczach odśpiewaliśmy Rotę: „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród”. Niestety mało kto z nas wrócił i to nie do Polski.

Woda z Ołyki starczyła nam na dwa dni, dużo się rozlało kiedy pociąg ruszał i hamował. Nikt już nie pił gorącej herbaty. Leżąc na najwyższej półce dostarczałam śniegu, który nawiewało na moją pościel. Potem, wiązałam blaszany kubek na pasku od sukienki i przez kratę wypuszczałam go na zewnątrz. W czasie jazdy pociągu kubek szybko wypełniał się śniegiem. Rozpuszczona ze śniegu woda była wypijana, do gotowania nie wystarczała. Nikt do nas nie zaglądał. Każdy pragnął napić się czegoś gorącego. Tak wyglądał ten „raj sowiecki”. Był on raczej piekłem na ziemi, gdzie człowiek jest niczym. Po pięciu dniach podróży jedna z kobiet, żona gajowego, straciła przytomność. Ja starałam się dostarczyć śniegu, aby ją ratować. Przez dłuższy czas leżała nieprzytomna, a po odzyskaniu świadomości wpadła w furję, chwyciła kawałek drewna i tak biła nim w drzwi, aż cały wagon się trząsł. Mąż ledwie ją uspokoił. Widząc takie zachowanie matki trójka jej dzieci zaczęła głośno

lamentować. Po dwóch godzinach od tego zajścia pociąg się zatrzymał na jakiejś stacji. Do wagonu zbliżył się strażnik i zapytał co się stało. Żona gajowego dobrze mówiła po rosyjsku więc krzyknęła do niego:

- Co wy drzewo wiezicie, czy ludzi? Nie otwieracie drzwi, nie ma powietrza, nie ma wody przez tyle dni.

Od tego czasu trochę się polepszyło, pociąg zatrzymywał się każdego dnia, kobiety prowadzono po wodę. Mężczyzn w dalszym ciągu nie wypuszczano z wagonów. Tak wieziono nas Polaków głodnych, spragnionych, w cuchnących wagonach przez 15 dni i nocy, aż do stacji Kotłas. Po dotarciu na miejsce kazano nam wysiadać. Naszego bagażu nie było.

Na stacji Kotłas stał duży ponury budynek, wewnątrz ławki, stół i ogromny czarny kocioł z gorącą wodą. To był tzw. kipiatok. Wszyscy rzuciliśmy się do picia. Ludzie których tam spotkaliśmy wyglądali jak więźniowie mający iść na stracenie - twarze mieli smutne, byli zamyśleni, między sobą nie rozmawiali, ciągle się oglądali jakby czegoś się bali. Spotkanie z tymi ludźmi zrobiło na mnie bardzo przygnębiające wrażenie. Po krótkim odpoczynku dalsza podróż odbywała się saniami zaprzęzonymi w dwa niewielkie syberyjskie koniki. Były one małego wzrostu, ale dość silne. W drodze żywiły się gałązkami z brzozy, a zamiast wody jadły śnieg. Przed nami, na saniach, jechała rodzina Szponarów z naszej osady. Najmłodszy między nimi był Marianek, sześciomiesięczny niemowlak. Na początku płakał a potem ucichł na zawsze. To syberyjskie powietrze go zabiło. Jechaliśmy od go-

dziny 15 do 23. Pierwszą noc spędziliśmy w jakimś budynku, bez gorącej wody do picia zmarznięci siedzieliśmy do świtu na swoich tobołkach. Koło nas siedziała rodzina Szponarów z martwym Mariankiem, ukrytym w tobołku z ubraniami. Rano przyszedł enkawudzista, przedstawił się, że jest naszym komendantem. Ogłosił, że wszystkie zmarłe niemowlęta należy położyć po drugiej stronie budynku, na śniegu, bo tu zostaną pochowane. Kiedy wyszłam na dwór zobaczyłam dziesięcioro leżących na śniegu dzieci. Jedenastego matka nie położyła, ukryła w bagażu, o czym komendant nic nie wiedział.

Ruszyliśmy w dalszą drogę, kto marzył to dla rozgrzewki biegł obok sań. Tak jechaliśmy do godziny 22. Drugą noc spędziliśmy na kwaterach u kołchoźników. My zatrzymaliśmy się w małym domku, gdzie mieszkała matka z córką. Spaliśmy na słomie w kuchni, a gospodynie w drugiej izbie. Matka miała 65 lat, a córka około 30. Rano, gdy było jeszcze ciemno do kuchni weszła córka, aby zrobić sobie śniadanie. Gdy zapaliła lampę zobaczyłem, że była ubrana w piękny atlasowy szlafrok. Widząc taką damę pomyślałam, że tu nie jest tak źle. Gdy się rozwidniło weszła matka, a widząc, że mój mąż i córka jeszcze śpią kiwnęła na mnie zapraszając do drugiej izby. Prosiła abym poszła do sklepu i kupiła nasz przydział, za jej pieniądze. Zapytałam się, dlaczego sama nie pójdzie? Odpowiedziała mi, że sprzedają tylko przyjezdnym, żeby pokazać jaki tu panuje dobrobyt.

- Podzielimy się zakupami, tylko nikt się nie może o tym dowiedzieć - powiedziała.

Stwierdziłam specjalnie, że córka ma piękny szlafrok, a ona na to, że córka jest partyjna i na taką okazję, jak ktoś nocuje u nich, ubiera się pokazując w ten sposób jak tu dobrze. Ten szlafrok kupiłam sobie jeszcze za cara, a córka zakłada go na siebie dla propagandy. Pożyjesz tu to przekonasz się jak tu jest - zakończyła. Zrobiłam te zakupy: pół kg cukru, małą paczuszkę herbaty i 1kg chleba. Cukier i herbatę oddałam gospodyni, a chleb zostawiłam dla nas. Podziękowaliśmy za nocleg, a na odchodne powiedziałam „Niech Bóg Was błogosławi” i odjechaliśmy. Słowa naszej gospodyni okazały się prawdą, ale dzięki Bogu cała nasza trójka przeżyła pobyt na „nie-ludzkiej ziemi”.

1 marca 1940 r o godz. 9 rano dotarliśmy do Ledni. W podróży byliśmy 18 dni, żywiłiśmy się chlebem i wodą oraz suszonymi owocami zabranymi z Polski. Śniadanie zjedliśmy w stołówce. Po kwaterach rozprowadzili nas mieszkańcy Ledni - mężczyźni, dawni przesiedleńcy. Kierował nami przesiedleńca z Kazachstanu, a od 20 lat mieszkaniec Ledni. Bardzo nam współczuł. Radził, że jak chcemy przeżyć, to gdy władza mówi na czarne, że jest białe, to musimy się z tym zgodzić. Kiedyś nie wszyscy się z tym zgadzali i musieli zginąć śmiercią głodową.

Nasz barak zbudowano z okrągłaków. Przeznaczono go na 6 rodzin. Wnętrze było wylepione gliną. W naszej izdebce w jednym kącie stały prycze, w drugim był piec z dziurą na jeden garnek. Był jeszcze mały stół i ławka. Po jakimś czasie wydano polecenie udania się do „bani”, do kąpieli. Z odległego kołchozu przywieziono

słomę, aby wypchać sienniki. Zszyłam dwa prześcieradła (dobrze, że miałam igły i nitki), włożyłam słomę do środka i tak powstał materac na trzy osoby. Wieczorem mąż poszedł do piekarni po chleb, a córka do stołówki po zupę. Kto nie miał czym zapłacić to zapisywano na kartkach kredyt, do zwrotu kiedy zacznie się pracować. Taki był pierwszy dzień w tym posiołku. W drugim dniu trzeba było zbudować ubikację, zbić budkę było łatwo, ale wykopać dół - to była bardzo ciężka praca, ponieważ ziemia była zamrznięta na pół metra. Ale wspólnym wysiłkiem pokonałszy tę przeszkodę. W tym samym dniu pochowaliśmy Marianka. W Ledni był cmentarz zarośnięty trawą, krzewami, wyrównany z ziemią, ale można było poznać, że to cmentarz. Na grobach były wbite słupki grubości ręki, ponad dwa metry wysokości, u góry uwiązane pęczki brzoźowych gałęzi wyglądające jak motylki - to były znaki grobów. W trzecim dniu wygoniono nas do wyrybu drzew w lesie - kobiety, mężczyzn i młodzież od 15 roku życia. Matki z małymi dziećmi, starzy i dzieci nie musiały iść do pracy. Te osoby w posiołku miały ciężkie życie, ponieważ otrzymywały tylko 200 gramów czarnego chleba, co stanowiło jedną kromkę. Dziecko zjadało to naraz. Ja też wykupywałam córce ten chleb. Lepiej było tym którzy mieli jeszcze coś z domu, a ci co nic nie posiadali, czyli większość rodzin od razu zostali skazani na głód i straszny rozpacz. Mąż mój poszedł do pracy, ja również musiałam iść, nie poszłam jednak, gdyż nie miałam odpowiedniego ubrania ani rękawic na taki mróz (45°C). Wielu innych też nie poszło z tego samego powodu, a także z

braku obuwia. Do pracy wzywano dzwoniąc o 6 godzinie rano. O 11 godzinie do baraku wpadł z krzykiem gwałtanin komendant. Biegał po izbie rozwścieczony i wykrzykiwał "na ciebia bieduki rabotali, tiepier ty budiesz robotat"! Odpowiedziałam - nikt na mnie nie pracował, ja sama pracowałam na siebie, a teraz nie mam rękawic na taki mróz. Komendant w dalszym ciągu wrzeszczał "ja ciebia nauczu". Kazał mi wieczorem przyjść na komendę i przynieść 3 ruble kary, "a jutro musisz iść do pracy". Przy wyjściu trzasnął drzwiami. Zabrałam się do roboty: wycięłam z koca rękawice i pozszywałam, wybrałam najmniejsze spodnie męża i góralski haftowany kożuszek obszyłam granatowym swetrem. Wszyscy wrócili z pracy dość późno. Pracowali do ciemnej nocy, a powrót zajął dużo czasu ponieważ śniegu było po pas, a mąż niósł piłę i siekiere. Musiał ją zanieść do ostrzenia ażeby na jutro była gotowa. Wieczorem poszłam do komendanta, nie zaniósłam 3 rubli bo nie miałam. On zachowywał się spokojnie, nie tak jak rano. Na drugi dzień ja też przyłączyłam się do procesji idących do pracy. Niosłam siekiere i łopate grzęzną w śniegu. Brygada moja składała się z 6 osób - 4 kobiet i 2 mężczyzn. Kobiety odkopywały śnieg dookoła drzewa do samej ziemi, a mężczyźni ścinali drzewo. Pnie oczyszczano z gałęzi i palono aby się ogrzać. W tej samej brygadzie nie mogło być osób związanych więzami rodzinnymi. Miało to przeszkadzać w pracy. Pilnował nas brygadir. Chodził od jednej do drugiej brygady i pokrzykiwał. Ja miałam kłopoty z odrybaniem gałęzi. Grubszą gałąź musiałam uderzać siekiere trzy, cztery ra-

zy. On widząc to wściekał się i mówił, że mam tak odrąbać jak brzytwą. Kilka razy wyrwał mi z rąk siekiere i wyrzucał daleko w śnieg. Ja tylko patrzyłam, gdzie upadła, aby później ją odnaleźć. Nigdy przedtem siekiery w ręku nie miałam i siły też nie miałam, żeby golić drzewo tak jak on wymagał. W czasie pracy mieliśmy przerwy: rano o godzinie 10 - 15 minut, w obiad - 25 minut i o 16 - 15 minut na palenie papierosa. Gdy zbliżała się przerwa brygadir gwizdkiem dawał sygnał i wszyscy gromadzili się przy ogniu. Na obiad przynosili kawałek chleba i nieraz dawali herbatę. Taka sama była kolacja.

Pracujący mógł wykupić 400 gr. chleba i zupę z rybich głów. W Ledni byliśmy przez 16 miesięcy. Żadnej zmiany na lepsze nie było. Był tu mały sklepik, który tylko czasami był otwierany - na półkach leżały smoczki i farbka do bielizny. Nikt tego nie kupował. Herbata była owocowa w kostkach. Jak się ją wrzuciło do wrzątku to

kolor był ładny i smak też dobry. Na dnie kubka po wypiciu można było znaleźć owoce jagód i malin. Pewnego dnia komendant ogłosił, że przywieziono do sklepu ciepłą odzież i będzie ona sprzedawana w niedzielę. Wszyscy bardzo się ucieszyli, ja specjalnie poszłam stać w kolejce po rękawice. Kiedy otworzyli to sprzedawca najpierw pytał o imię i nazwisko a następnie patrzył na listę co komu może sprzedać. Gdy ja podeszłam - powiedział "dla ciebia niet, ty nie jesteś stachanówką i nie wyrobiłaś normy". W całej kolejce było 11 osób - stachanowców, w tym jedna kobieta. Mój mąż wyrobił normę, więc mógł sobie kupić watowane spodnie. Były jednak tylko małe rozmiary, więc skorzystałam ja. Cała dostawa do sklepu składała się z: 3 kufajek, 4 par spodni i 2 par rękawic. Komendant powiedział, że następnym razem przywożą rzeczy i dla nas. Ale nic już więcej nie przywieźli!

Rozpacz

10 luty 1940 roku, będziemy pamiętali,
Kiedy po nas przyszli myśmy jeszcze spali.
Jak my granicę polską żegnali,
To wszyscy ze łzami Rotę zaśpiewali.

Ludzi przesiedlają, łagry zapełniają,
A nasze majątki sobie przywłaszczają.
Na tej ziemi sowieckiej, gdzie nie ma wolności,
Wszyscy chodzą smutni w głębokiej żałości.

Ludzie przesiedleni na śmierć przeznaczeni,
Ciężką pracę dają, marnie odżywiają.
Na naszym posiołku, był komendant miły,
Tak ludzi traktował jak tygrys prawdziwy!